

A dark, atmospheric street scene at night. In the background, a church with a tall, pointed spire is visible. The street is lined with buildings and trees, and several street lamps are lit, casting a warm glow. The overall mood is mysterious and somber.

BLASK KLEJNOTÓW POTRAFI PRZYĆMIĆ WSZYSTKO.
NAWET ZDROWY ROZSĄDEK.

MAREK
STELAR
BLASK

FILIA

MAREK
STELAR

BLASK

FILIA

Prolog

Zamość, 31 października 1944

Wiktor Krugły przechodził właśnie obok koszar. Zmierzał ulicą Lubelską w kierunku Sitańca. Był przemoczony, głodny i zmęczony; zimny deszcz siąpił od kilku godzin, a wilgoć, której pomagał przenikliwy wiatr, wciskała się pod ubranie lodowatymi szpilkami, maleńkimi jak ząbki kociaka. Woda spływała z nasiąkniętych nogawek za cholewy butów. Przedmieście było o tej porze ciemne i wyludnione. Zresztą było takie niemal o każdej porze. Szeroki trakt jednej z najstarszych zamojskich dróg prowadził Krugłego do domu przy ulicy Szwedzkiej, gdzie siostra Marylka przygotowała dla niego późną kolację. Jej mały Witek pewnie dawno już zasnął, nie czekając na wuja.

Wiktor wciąż próbował dostosować się do nowych realiów. Żył normalnie. Od wyzwolenia Zamościa minęło już parę miesięcy, jego oddział rozwiązano z końcem lipca, ale ledwie kilka dni temu padł rozkaz zakończenia „Burzy”. Wracala normalność, która normalnością nie była. Wracala powoli. Front przeszedł i parł dalej na zachód, ale chaos, który po jego przejściu nastąpił, wciąż sprawiał, że niczego nie było się pewnym. Absolutnie niczego.

Czarne myśli przysły, kiedy gdzieś przed nim, w ciemności, zamajaczył zarys ludzkiej sylwetki. Odruchowo napiął wszystkie mięśnie. Nie miał przy sobie broni. Nie mógł wtedy, w lesie, przewidzieć, czy to błąd, czy wręcz głupota; czy będzie żałował, że jej nie wziął, czy wręcz przeciwnie – przyjdzie chwila, że podziękuje Bogu za decyzję o zostawieniu jej w kryjówce. Ale teraz wskutek tamtej decyzji był bezbronny. Mimo to dalej szedł przed siebie

pewnym krokiem. Tamten zastąpił mu w końcu drogę. Ognik papierosa rozjarzył się mocniej i w pomarańczowej poświacie żaru Krugły ujrzał jego twarz.

Znał tego człowieka. Nazywał się Władysław Bolesławiec. W dzieciństwie mieszkał dwie ulice dalej, a właściwie bliżej, bo do granic miasta było stąd ledwie o rzut kamieniem. Chodzili do tego samego gimnazjum, Zamoyskiego, Władek był dwie klasy wyżej. Krugły już wtedy słyszał, że ma niezdrowe skłonności; potem to się potwierdziło, bo osobiście przyłapał go w toalecie z innym chłopakiem ze swojej klasy, kiedy Bolesławiec był już w liceum. Nigdy nikomu o tym nie powiedział, ale od tamtej pory za każdym razem, kiedy mijali się na szkolnym korytarzu albo na ulicy, już za okupacji, on patrzył na niego nienawistnie. Spotkali się w zeszłym roku na akcji, którą przeprowadzali wspólnie z oddziałem Batalionów Chłopskich. Nie zamienili wtedy słowa. Po rozbięciu niemieckiego taboru na drodze koło Frampola podzielili zdobytą broń i oba oddziały się rozeszły. Słyszał od Marylki, że Władek przystąpił do czerwonych i służył w Resorcie Bezpieczeństwa Publicznego. Teraz miał szansę te informacje zweryfikować, chociaż tak naprawdę mało go to obchodziło. Byli sobie obcy. Krugły nie miał nawet pojęcia, czy Bolesławiec wie, jak on ma na imię.

– Stać! – To słowo nie było prośbą, tylko rozkazem rzuconym takim tonem, żeby nie było wątpliwości, co stanie się w razie jego niewykonania.

Krugły stanął, i tak nie miał wyjścia. Znajdował się jakiś metr od tamtego, oddzielony wilgotną mgiełką. Płaszcz i kapelusz Bolesławca były równie mokre, jak ubranie Krugłego, a więc musiał tu stać już od jakiegoś czasu. Krugły nie widział ani samochodu, ani roweru, zresztą prawie nic nie widział. Nie miał też pojęcia, czy ich spotkanie było wynikiem przypadku, czy elementem jakiegoś planu. Rozmazana plama twarzy Bolesławca, spowita pomarańczową poświatą żaru papierosa, który jakimś cudem nie zgasł na

deszczu, była chyba jedynym, co wyraźnie można było dostrzec w ciemności. I wtedy znenacka wyszedł księżyc. W szczelnej pokrywie chmur pojawiła się wolna przestrzeń, wypełniona najpierw jego blaskiem, a potem pojawił się on – księżyc w pełni, w całej krasie, wyłuskujący zimnym światłem szczegóły otoczenia. Przerwa nie była duża, wiatr wciąż przesuwiał zasłonę chmur, było więc jasne, że za chwilę ciemność znów spowije świat.

Krugły rozejrzał się, usiłując zobaczyć i zapamiętać jak najlepiej, a przez myśl błyskawicznie przeleciały rady dawane przez porucznika na samym początku jego służby w konspiracji: zawsze miej zabezpieczoną drogę odwrotu. Nawet jeśli odwrót ma być paniczną ucieczką. A może właśnie szczególnie wtedy...

Bolesławiec stał zgarbiony, z kapeluszem głęboko nasuniętym na oczy. Chwiał się lekko. Jedną ręką tkwiła w kieszeni płaszcza: była zaciśnięta w pięść, wypychała materiał tak mocno, że niemal pękał. W drugiej trzymał pistolet, niemieckiego lugera, parabelum. Światło księżycza przez chwilę zajaśniało matową plamą na oksydowanej lufie pistoletu, a Krugły w tym samym momencie pomyślał, jak głupio jest wściekać się na księżyc, że wyszedł z za chmur w takim, a nie innym momencie.

– Czego ty ode mnie chcesz, Władek? – zapytał zmęczonym głosem.

– Dla ciebie „obywatelu poruczniku”, zawszony kundlu – syknął Bolesławiec. – Rozmawiasz z oficerem bezpieczeństwa!

Słowa przepelnione wściekłością i nienawiścią były bełkotliwe i niewyraźne. Bolesławiec był pijany. I to mocno. Zbliżył się do Krugłego i ten poczuł, jak lufa pistoletu wciska mu się w brzuch. Cuchnący bimbrem i czosnkiem oddech owionął jego twarz, wzbudzając odruch wymiotny. Napiął wszystkie mięśnie. Nie wiedział, co robić. Walczyć czy przynajmniej przez jakiś czas odczekać i sprawdzić, jak rozwinie się sytuacja?

– Pan kapral Krugły we własnej osobie. – Wredny uśmieszek skrzywił wydatne wargi bezpieczeniaka. – Co, zzzdziwiony?

Krugły oblizwał usta.

– Chodzi ci o tamto w toalecie, w szkole? – zapytał spokojnie, choć serce chciało wyskoczyć z jego piersi. Lufa pistoletu o milimetry minęła jego policzek.

– Zamknij mordę, reakcyjna gnido! – Do tej pory Krugły nie wiedział, że można krzyczeć szeptem, a to właśnie robił Bolesławiec; mimo szeptu jego słowa brzmiały jak wrzask. – W dupie mam, co widziałeś, rozumiesz? W dupie! To koniec! Wyświadczam ci przysługę! Mógłbym cię tak skatować, że błagałbyś o śmierć. Mógłbym ci zrobić to, co twoi koledzy z WiN-u zrobili Józkowi, rozumiesz?! Mojemu Józkowi! Kazali mu połknąć wszystkie guziki od munduru! Bo orzełki nie miały korony! A potem kula w łeb, pod drzewem, jak psa... Jak psa... Żadnej litości dla was nie będzie, skurwysyny jedne. Żadnej, rozumiesz? Wytniemy was w pień! Zagonimy w ślepy zaułek i wybijemy do nogi, do ostatniej sztuki – bełkotał, a pijackie łzy leciały ciurkiem z jego oczu.

– Nie wiem, kim był Józek. – Krugły pokręcił głową. – Wyszedłem z lasu kilka miesięcy temu. To za to, że widziałem cię w toalecie, tak? Bądź mężczyzną, przyznaj to i przestań pieprzyć o polityce...

– Stul pysk i odwróć się! Już! – Luger uniósł się na wysokość ramienia. – Nie będzie sądu, szkoda na to czasu. Tylko na to zasługujecie: na kawałek ołowiu w tył głowy...

Krugły stał prosto i nie ruszał się. Wolał umrzeć jak żołnierz, w boju, a nie jak tchórz, od strzału w plecy. Cios w ramię był nadspodziewanie silny i obrócił go w miejscu, tak że prawie upadł. Zamknął oczy. A więc jednak w plecy...

Nagle usłyszał charkot, a potem dziwny bulgot, coś jakby obfite wymioty i odgłos upadającego ciała. Odwrócił się. Bolesławiec leżał na ziemi, trzymając się za gardło, z wybałuszonymi oczami. Kapelusz mu spadł, ukazując ogoloną głowę. Spomiędzy palców wypływała krew. Nieprzerwany strumień pulsującej, ciemnej czerwieni, niemal czarnej w świetle księżyca, spływał w błotnistą

breję, w którą zmieniała się nawierzchnia ulicy. Charkot powoli cichł, a powieki opadały, zasłaniając oczy wpatrzone w stojącego nad nim człowieka z bagnetem w dłoni. Ów mężczyzna stał na szeroko rozstawionych nogach, ramiona unosiły się i opadały w rytm szybkiego oddechu. Opuszczona głowa nie pozwalała Krugłemu dostrzec, z kim ma do czynienia.

W tym samym momencie chmury znów połknęły księżyc, ale tuż przed tym Krugły zdążył zobaczyć twarz swojego wybawcy. „Waksmund”. Nie widzieli się od czasu rozwiązania oddziału, bo Janek, jak kot, zawsze chadzał swoimi ścieżkami. Był kilka lat starszy od Krugłego, zaprzyjaźnili się w lesie i byli tam niemal nierozłączni. Janek miał cygańskie korzenie, pięknie grał na skrzypcach, a spojrzenie jego czarnych oczu zawróciło w głowie niejednej dziewczynie.

– Jezus, Maryja! – wydusił Krugły. – Janek!!! Skąd ty tu...?

– Do twojej siostry szedłem... Do Marylki...

Marylka była wdową. Lucka, jej męża, ojca Witka, w czterdziestym drugim Niemcy zabrali do Bełżca. Umarł na czerwonkę rok później, tak przynajmniej napisano w lakonicznej informacji przysłanej z kacetu. Janek od kilku miesięcy smażył do Marylki cholewki, choć Krugły wiedział o tym wyłącznie z relacji siostry, ponieważ nigdy nie widział go u nich w domu. Uważał go za porządnego chłopca. Marylka też. Nie miałby nic przeciwko temu, by Janek pozostawił wszystkie dziewczyny ze swej przeszłości w nieutulonym żalu, zostając jego szwagrem.

– Tak późno? – zdziwił się.

– W dzień teraz niezbyt bezpiecznie, Wiktor, przecież wiesz. Dzięki Bogu... dzięki Bogu, żeśmy się akurat tu i teraz spotkali – szeptał. – Ubiłyby cię, skurwiel, jak nic. Dobra, musimy go jakoś ukryć.

– Tylko gdzie? – Suchość w gardle powoli mijała.

Janek otarł twarz, pochylił się nad trupem, chwycił go za ubranie i podniósł o kilka centymetrów, sprawdzając, jak jest ciężki.

– Idziemy nad rzekę! – zdecydował, wyjmując z kieszeni latarkę z naciskowym dynamem i wtykając ją Krugłemu w dłoń. – Masz, będziesz świecił. Ja go wezmę, i tak cały jestem uwalany krwią.

Krugły przełknął ślinę i zaczął naciskać dynamo. W wąskim, mizernym snopie żółtego światła pojawiły się plecy Janka, który wyprostował się, zatknął za pasek pistolet Bolesławca i znów pochylił nad trupem, żeby chwycić go za poły płaszcza. Stęknął, przesuwając go na bok, na trawę porastającą pobocze i rozciągające się aż do Łabuńki nieużytki. Potem wdepnął w głęboką kałużę, w której leżało ciało, i zaczął rozchlapywać zabarwioną na czerwono wodę, zmywając z ziemi krwawe smugi. Kiedy już je rozmazał i udeptał podeszwą, znów schylił się po Bolesławca i dźwignął jego ciało.

– Idziemy – warknął z zaciśniętymi z wysiłku zębami. – Ależ waży, kaban...

Zeszli z traktu, czując pod stopami lekką pochyłość. Krugły szedł przodem, gorączkowo naciskając dynamo latarki i oświetlając drogę. Mokry bakelit ślizgał się w kurczowo zaciśniętej dłoni. Latarka dawała niewiele światła, ale lepsze to niż nic. Gdyby nie ona, nie daliby rady dotrzeć nad rzekę, nie w takich ciemnościach i deszczu. Ciche klikanie mieszało się z sapaniem Janka. Światelko pulsowało nierówno, jego jasny, nieregularny placek przesuwał się przed nimi po wykrotach i kępach trawy. Krugły słyszał ciche przekleństwa.

– Pomogę ci, co? – szepnął przez ramię.

– Nie trzeba, dam radę – syknął „Waksmund”. – Świeć tylko.

Kilka minut później zdyszani i mokrzy od potu i deszczu dotarli nad brzeg Łabuńki. Krugły przystanął, oparł się o pień rosnącego tuż nad brzegiem drzewa i poświecił w czarną, mętną wodę, leniwie płynącą korytem rzeki. Janek stęknął i zrzucił ciało Bolesławca na trawę, tuż przy brzegu. Ręka z głośnym pluskiem uderzyła w wodę. Krugły skierował wąski snop światła na zie-

mię i nagle zdał sobie sprawę, jak bardzo od ciągłego naciskania dynamy boli go kciuk. Popatrzył na trupa. Olbrzymia rana ziała w gardle ubeka. W świetle latarki pośród karminowej czerwieni błysnęła biel chrząstki tchawicy. Bolesławiec był zalany krwią, która rozrzedzona deszczem przesiąkła przez ubranie i pokryła go całego różową mazią. Widok był straszny.

Janek wszedł do lodowatej wody.

– Poświeć – powiedział, ściągając ciało z brzegu.

Krugły patrzył, jak „Waksmund” upycha Bolesławca między korzeniami drzewa, odsłoniętymi przez bystrzejszy w tym miejscu nurt, który wypłukał pod brzegiem niewielki nawis. Wczepione w niego korzenie wyglądały jak palce starca wykrzywione artretyzmem i spazmem agonii. Przestał naciskać dynamo i znów nastał niemal nieprzenikniony mrok.

– Minie kilka dni, zanim ktoś go tu znajdzie.

– Co teraz? – zapytał Krugły, który nie był tego taki pewny.

– Musimy zniknąć. Ty i ja.

– Dokąd chcesz pójść?

– Do lasu. Chodź ze mną!

Krugły milczał, spoglądając w ciemność, w miejsce, gdzie spoczywał trup Bolesławca.

– Nie, Janek. – Pokręcił głową. – Nie pójdę.

– Przysięgałeś! Na Boga i ojczyznę.

– Zrobiłem już, co trzeba. Sam wiesz, że się nie uchylałem.

– Wiem. Ale to jeszcze nie koniec walki, „Wikta”. – Janek specjalnie użył konspiracyjnego pseudonimu Krugłego. – To jeszcze nie koniec.

– Podjąłem już decyzję.

Odpowiedziała mu cisza. Oddech „Waksmunda” był już spokojniejszy.

– Jak chcesz – odpowiedział w końcu, a jego słowa były ledwo słyszalne w szumie deszczu uderzającego o powierzchnię wody. – Jak chcesz... Nie będę mówił, że to dezercja i tchórzostwo, bo

cię znam i nieraz widziałem w akcji. Ale ostrzegam: Sowieci już wylapują naszych i wywożą na wschód. Na Sybir jadą, rozumiesz? Jak sto lat temu; nic się nie zmieniło, dlatego dalej trzeba walczyć! To nowy okupant, Wiktor. I będzie jeszcze gorszy niż Niemcy, zobaczysz, ja ci to mówię!

– Janek...

– Wracaj do domu, Wiktor. Marylka pewnie czeka.

– Chodź ze mną. Prześpisz się u nas.

„Waxmund” pokręcił głową, choć Krugły nie mógł tego widzieć.

– Nie teraz. Przecież tak się jej nie pokażę, cały w jusze tego bydlaka. Nikt prócz nas nie może o tym wiedzieć, zrozumiałeś?

– Jasne, co ja, dziecko jestem?! – obruszył się. – To przyjdź rano. Marylka ma z przydziału jajka w proszku, jeść się tego nie da, więc zalejemy spirytusem i zrobimy ajerkoniak.

– Ech, ty dzieciaku... – „Waxmund” roześmiał się i klepnął go na ślepo w ramię, a potem uniósł twarz, wystawiając ją na deszcz i pozwalając, by zimna woda spływała po szyi za kołnierz kurtki. – Za późno... Nie po tym, jak zaszlachtowaliśmy tego wieprzka. Oddaj latarkę.

Krugły wyciągnął przed siebie rękę i poczuł zimną dłoń Janka. Wcisnął w nią latarkę, a wtedy on roześmiał się cicho.

– Jakiś do Szczebrzeszyna wchodzili, musiałem martwemu szkopowi palce wyłamać, żeby ją wyciągnąć – powiedział wesoło.

– Wiem, chłopie, przecież razem byliśmy... Z dziesięć razy już opowiadałeś.

– Słuchaj, „Wikta”... – powiedział nagle Janek. – Gdybym nie dał rady do was wpaść w najbliższym czasie, to powiedz Marylce, że wrócę. Najprędzej, jak będę mógł. Że nie musi czekać, ale zawsze będę o niej pamiętał, więc jeśli chce... – Urwał nagle. – Powiesz?

– Powiem, powiem.

– Na pewno?

– Oj, na pewno, no! Jak do domu tak dojdiesz?

– Poradzę sobie. Ciemno jest, nikt mnie nie zobaczy. Będę opłotkami szedł, jakby co najwyżej powiem, że mnie zbóje napadli. Trzymaj się. Do zobaczenia w wolnej Polsce, bracie.

– Uważaj na siebie. Zdrow!

– Zdrow... – Szept Janka rozmył się w szumie deszczu i Krugły zorientował się po chwili, że jest sam.

Ostrożnie wymacując stopami grunt, dotarł do ulicy. Był przemoczony do nitki i trząsał się z zimna. Woda chlupotała w butach, a ubranie ważyło pewnie tyle, co on sam. Był już prawie w domu. Skręcił w Szwedzką, dziękując w duchu za to, że za chwilę zzuje mokre buciory, zrzuci z siebie przemoczone łachy i siedząc przy piecu, będzie połykał w pośpiechu, niczym wygłodniałe zwierzę, przygotowane przez siostrę omaszczone kartofle.

Przed sobą ujrzał nagle dwa żółte koła, a ułamek sekundy później snopy światła zalały fragment ulicy, przecinając ciemność i wyłuskując z niej nieliczne domy i kępy zieleni w ogrodach.

Krugły poczuł zapach tytoniu. Przetarł i zmrużył oczy, żeby widzieć cokolwiek.

– Obywatel Krugły Wiktor, prawda? Resort Bezpieczeństwa Publicznego. Pojedziecie z nami...

Zdążył tylko wyrzucić sobie własną głupotę. Mógł się domyślić, dlaczego mimo wściekłości Bolesławiec nie podnosił głosu i o co mu chodziło, kiedy mówił, że to koniec. Że ten koniec jest aż tak bliski i że czeka na niego za rogiem, tuż przed własnym domem. Postanowił zagrać ostatnią kartą. Nie miał już nic do stracenia, a wszystko do zyskania. Uzmysłował sobie, że Bolesławiec nie uczestniczył w akcji jego zatrzymania, a tylko o niej wiedział; przecież nikt nie puściłby go na nią pijanego. I po prostu wykorzystał tę wiedzę, by w ostatniej chwili dokonać osobistej zemsty za wyimaginowane krzywdy.

– To pomyłka – powiedział spokojnie do funkcjonariuszy. – Zapytajcie waszego porucznika Bolesławca. Władek wam powie, znamy się dobrze od dzieciaka...

Może to da mu trochę więcej czasu. Może potraktują go lepiej, może nie trafi od razu na Żeromskiego, do kazamat w kamienicy Czerskiego, i zdoła coś wymyślić? Uciec jakoś, zanim znajdą ciało Bolesławca?

– Porucznika? – Jeden z bezpieczeniaków roześmiał się. – Władziu jeszcze nawet do Kujbyszewa nie wyjechał, a już sobie gwiazdki nadaje? A owszem, pogadamy z nim potem, a komendant to na pewno... A wy, chodźcie, chodźcie, nie będziemy tak stać w deszczu...

A więc wszystko stracone. Krugły pomyślał jeszcze o Janku i Marylce, która pewnie nawet nie wiedziała, co dzieje się pod oknem ich domu, a potem dwóch mężczyzn w mokrych płaszczach podeszło do niego i wykręcając mu ręce do tyłu, zaprowadziło go do samochodu.

Szczecin, sierpień 2018

Szum laptopa był jedynym dźwiękiem, jaki mącił ciszę poranka. Agata Prażmowska siedziała przy biurku, wpatrzona w ekran komputera, i nie wierzyła w to, co na nim widzi. Poczowała, jak w oczach wzbierają jej łzy, rozmazując obraz: twarz ładnej, młodej dziewczyny. Błada skóra była matowa jak płótno i miała taki sam kolor. Półprzymknięte oczy patrzyły niewidząco prosto w obiektyw. Na policzku widać było otarcie, a na wysokim czole kosmyk ciemnych włosów, zlepionych brudem i wilgocią. Biała plamka koło skroni, na samym skraju zdjęcia, nie była zabrudzeniem ani błędem generowania obrazu. Agata wiedziała, co to takiego. Fragment obleczonego w lateksową rękawiczkę palca patologa, przytrzymującego głowę dziewczyny. Podpis pod zdjęciem głosił: *Policja prosi o pomoc. Czy znasz tę kobietę?*

Dziewczynę znaleziono dwa dni temu na ulicy Długosza, na Niebuszewie. Nie podano przyczyny śmierci ani żadnych innych informacji; po prostu suchy komunikat i prośba o pomoc w identyfikacji. Takie wiadomości na portalach informacyjnych i w gazetach pojawiały się niezmiernie rzadko, częściej na stronach internetowych komend policji, gdzie i tak sporadycznie ktoś zaglądał. Musiał być jakiś powód, dla którego tym razem policja, zapewne w porozumieniu z prokuraturą, zdecydowała się na taki krok.

Artykuł pojawił się na stronie GS24 kilka minut wcześniej. Niewiele osób zdążyło go udostępnić na swoich profilach w portalach społecznościowych, pod artykułem nie było jeszcze żadnego

komentarza. Agata, nie spuszczać monitora z oczu, wzięła do ręki telefon i wykręciła numer widoczny w treści artykułu.

– Dyżurny komendy miejskiej w Szczecinie, aspirant Marek Obłoz, słucham?

– Dzień... – Odchrząknęła. – Dzień dobry, dzwonię w sprawie tej dziewczyny, znalezionej dwa dni temu na Niebuszewie... Ja...

– Tak?

– Ja wiem, kim ona jest.

– Znała ją pani?

– Tak. Jestem adwokatem, byłam kiedyś zawodowo zaangażowana w jej sprawę...

– Łączę panią z funkcjonariuszem prowadzącym postępowanie, chwileczkę.

Agata nabrała głębokogo powietrza i oderwała wreszcie wzrok od laptopa, skupiając go w jakimś neutralnym miejscu w rogu pokoju. Na nic się to zdało. Widok twarzy martwej dziewczyny został jej pod powiekami razem z białą plamką lateksu na palcu patologa.

– Kryminalny, Sablewski, słucham – usłyszała po chwili.

Powtórzyła to, co powiedziała dyżurnemu. Zapadła cisza.

– Przyjedzie pani do nas czy ja mam przyjechać do pani? – zapytał policjant.

– Przyjadę – odparła. – Na Kaszubską, tak?

– Tak. Powie pani na bramce, o co chodzi, uprzedzę kolegę. Zejdę do pani i pojedziemy od razu na Pomorzany. Może być?

Pokiwała głową, kompletnie nieświadoma, że on nie mógł tego widzieć.

– Halo? – usłyszała jego lekko zniecierpliwiony głos.

– T-t-tak, tak, jestem. – Otrząsnęła się wreszcie. – Po co na Pomorzany?

– Do szpitala. Do zakładu medycyny sądowej.

Tylko szok mógł tłumaczyć, że sama nie wpadła na to, co będzie musiała zrobić jako osoba rozpoznająca denatkę.

– Jasne. – Przełknęła z trudem ślinę. – Będę w ciągu kilkunastu minut.

– Okej. Aha... – Sablewski się zawahał. – Skoro i tak to pani przyjedzie do mnie, to czy będzie problemem, jeśli pojedziemy tam pani wozem? Wie pani, musiałbym czekać na wolny radiowóz, a tak...

– Żaden problem.

– Świetnie. To do zobaczenia...

Zamknęła laptop, zostawiając go na biurku. Przebrała się w lekką sukienkę: na zewnątrz panował tropikalny upał, a i tak w ciągu dnia miała jeszcze w perspektywie jakieś pół godziny w todze. Umalowała się, stojąc przed lustrem w przedpokoju, nie poświęcając tej czynności zbyt wiele uwagi; nie miała nastroju ani czasu. Zrobiła tylko to, co było konieczne: oczy i brwi. Kończąc, przez chwilę przyjrzała się sobie. Cerę miała jasną i ładną, mimo przekroczonej niedawno czterdziestki. Szare, zwykle wesołe oczy patrzyły bystro spod brwi. Blond włosy z przedziałkiem pośrodku okalały miłą, pełną twarz, której wyraz wiele razy zmylił przeciwników na sali sądowej. Ktoś kiedyś powiedział jej, że wydatna zuchwa świadczy o wewnętrznej sile. Trzymała się tego. Kiedy się uśmiechała, jeden kącik ust unosił się odrobinę wyżej. Wspólnicy z kancelarii nazywali jej uśmiech „przekąśliwym”. Byli i tacy, którzy określali go jako słodki, ale tak się składało, że stanowili element przeszłości, do której zwykle nie lubiła wracać. Żyła tu i teraz, ewentualnie, jako osoba wyjątkowo rozsądna, trochę myślała o przyszłości. Całości obrazu dopełniała szczupła, wysportowana sylwetka, zgrabna kibić i pasujący rozmiarem do sylwetki biust. Cała ona. Mecenas Agata Prażmowska. Do usług, kiedy zadrzesz z prawem.

Skutecznie i niedrogo.

No, może raczej to pierwsze.

Było nie zadzierać...

Odłożyła konturówkę i tusz do rzęs na stoliczek. Przeszła do kuchni i dokończyła letnią kawę. Piła drobnymi łyżkami, jakby

chciała odwlec moment wyjścia, ale w końcu ukazało się dno i dłużej już nie można było udawać. Włożyła kubek do prawie pełnej zmywarki, załadowała tabletkę i włączyła. Jeszcze raz spojrzała na siebie w lustrze, sprawdzając, czy kropla kawy nie wylądowała na dekolcie albo fałdach sukienki, potem włożyła buty na płaskiej podeszwie, wzięła torebkę i wyszła z domu zmierzyć się z czymś, na co nie była gotowa.

* * *

Sablewski nie był wysoki, o kilka centymetrów niższy od Agaty, miał szerokie bary i masywne uda, co mogło świadczyć, że uprawia jakiś sport siłowy. Idąc w kierunku jej samochodu, stawiał nogi szeroko, jak sztangista podchodzący do próby rwania albo podrzutu. Kiedy był już niedaleko, mogła mu się lepiej przyjrzeć. Miał starannie przystrzyżoną brodę, prosty nos i lekko siwiejące po bokach głowy włosy. Przypominał jej trochę greckiego atletę ze starożytnej ceramiki. Otworzył drzwi, wsiadł i przedstawił się. Miał na imię Rafał i był pracownikiem wydziału kryminalnego komendy miejskiej w randze komisarza. Kiedy wyciągnął do Agaty rękę, uściśniła ją mocno; była sucha i ciepła, a siła, z jaką Sablewski oddał uścisk, świadczyła o pełnej samokontroli i trochę o grzeczności. Użył jej tyle, ile powinien, by niczego nie udowodniać ani sobie, ani jej. Agacie to się spodobało.

– Nazywała się Dżesika Połaniecka – zaczęła, kiedy zapinał pas.

Kącik ust policjanta lekko drgnął, ale powstrzymał się od komentarza. Mimo to była pewna, że ta kwestia w którymś momencie rozmowy jeszcze wróci. Ten grymas komisarza, w przeciwieństwie do uścisku, spodobał jej się o wiele mniej. Dobrze pierwsze wrażenie można zrobić tylko raz, ale bardzo łatwo zepsuć je drugim. Sablewski chyba o tym nie wiedział.

– Skąd ją pani znała? – zapytał.

– Trzy albo cztery lata temu byłam jej obrońcą przed sądem rodzinnym w sprawie o demoralizację i pobicie. Miała wtedy szesnaście lat: rzuciła się na kolegę z klasy. Trafił do szpitala ze złamanym barkiem. Aferę usiłowała wyciszyć dyrekcja szkoły, ale rodzice chłopaka byli uparci i nie chcieli odpuścić; był jakimś sportowcem i uznali, że oprócz barku złamała mu także karierę. Poza tym Dżesika miała już wcześniej sprawę przed sądem rodzinnym, właściwie jej matka, bo ona była wtedy trzynastolatką.

– O co?

– Niedostateczna opieka nad nieletnim.

– A konkretnie?

– Paliła papierosy, próbowała alkoholu i miękkich narkotyków oraz robiła różne inne rzeczy, głównie po to, żeby zwrócić na siebie czyjąś uwagę. Może matki, a może kogoś innego, kto zobaczyłby w niej wystraszonego dzieciaka, którym była. Nie znałam jej wtedy, bo w tamtej sprawie pełnomocnikiem matki był jeden z moich współpracowników z kancelarii.

– Uhm... Szczerze mówiąc, nie dziwię się rodzicom tego chłopaka. Skoro trafił przez nią do szpitala...

– Mógł nie wsadzać jej jęzora do ust ani ręki w majtki, wtedy nic by się nie stało, prawda? – Spojrzała na Sablewskiego chłodno.

– Prawda – przyznał, i to z przekonaniem. – Co na to sąd?

– Powiedzmy, że wydał salomonowy wyrok. Ale to dopiero w drugiej instancji, bo od wyroku rejonowego odwołali się tamci ludzie. Walczyliśmy, ale opłaciło się. Nie mówię, oczywiście, o pieniądzach...

– Nie wzięła ostatniej raty za podjęcie się obrony Dżesiki. Kiedy po wszystkim jej matka wręczała kopertę, powiedziała, że są już rozliczone. Nigdy nie miała skrupułów, jeśli chodziło o pieniądze, zwłaszcza w przypadkach klientów oskarżonych o kradzieże, w końcu to jej praca, i to ciężka. Kiedy ukradli jej rower z balkonu, następnemu złodziejowi, który korzystał z jej usług, doliczyła, ile trzeba, żeby poczuć się lepiej. Taki prywatny domiar, w końcu to

1946 rok. Wiktor Krugły po wojennych przejściach przyjeżdża do Szczecina i od razu zostaje wplątany w sprawę zabójstwa żydowskiego chłopca. Wobec obojętności władz zajętych ogarnianiem chaosu w mieście bezprawia próbuje sam rozwikłać zagadkę. Ma przeciw sobie niemal wszystkich: urzędników, milicję i tajemniczą, żydowską organizację Bricha.

1978 rok. W Szczecinie ginie młoda prostytutka. Zatrzymany w związku ze sprawą obywatel zachodnioniemiecki zostaje niemal natychmiast zwolniony, ale pewien kapitan Służby Bezpieczeństwa postanawia rozegrać z nim grę: grę na swoich zasadach.

2018 rok. Agata Prażmowska, szczecińska prawniczka, rozpoznaje w nieletniej ofierze zabójstwa swoją niedawną klientkę. Niedługo później umiera jej ojciec, a to, czego dowiaduje się o nim po jego śmierci, wywraca jej świat do góry nogami. Agata z pomocą kuzyna Roberta, emerytowanego oficera policji, angażuje się emocjonalnie w śledztwo, które prowadzi w przeszłość.

mrocznastrona.pl
wydawnictwofilii.pl



FILIA MROZNA
STRONA

cena 47,90 zł

ISBN 978-83-8357-550-6

